Świat powieściowy.

Nr. 139 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Zaklęty i Odczarowany

(Ciąg dalszy.)

Adwokat, figura długa, sztywna, mężczyzna lat czterdziestu, rysów twarzy dość przyjemnych, ale noszących piętno suchej pedanterji i powagi przesadzonej, przyjął klienta w biurze, w sposób, który zdradzał, iż go o Pawła wizycie uprzedzono. Powód najgłówniejszy odwidzin, dzięki wspaniałomyślności ordynata, prędko załatwiono. Adwokat nie mógł wprawdzie wstrzymać się od wielce znaczącego głową potrząsania, usłyszawszy o sumie długów, odebrał atoli wpierw dokładną instrukcję, iż ma wyrównać wszelkie zobowiązania barona Pawła Werdenfels, w jak najkrótszym czasie, nie rzekł więc ani słowa, prosił tylko o podanie dokładne nazwisk i adresów wierzycieli. Paweł udzielił tychże z gotowością rozczulającą, odetchnąwszy całą piersią, gdy go adwokat zapewnił, iż najdalej do dwóch tygodni wszystko będzie zapłacone, a pokwitowanie złoży mu do rąk własnych.

Skończywszy szczęśliwie z kwestją finansową, młody człowiek rozwinął teraz zasób cały uprzejmości i ogłady salonowej, aby adwokata sprowadzić nieznacznie z rozmowy o interesach, na pole milsze i wdzięczniejsze gawędki przyjacielskiej, co mu się też bez wielkiego trudu powiodło w zupełności. Wynurzył się przed prawnikiem, z lekkim odcieniem szczerości poufałej, iż myśli dłużej przy stryju zabawić, radby zatem nawiązać stosunki towarzyskie w okolicy. W Felseneck nikt go nie mógł pod tym względem poinformować, stryj bowiem z nikim nie żyje, człowiek atoli tak przyjemny, tak dystyngowany, w latach najpiękniejszych, jak adwokat, musiał na pewne znać wszystkich i bywać wszędzie.

Freising mimo sztywnej powagi, był wielce czułym na komplimenta zręcznie zaaplikowane. Grzeczność i ton poufały barona, połechtały go roskosznie po sercu; na szczęście nie był tak impertynencko milczącym i w sobie zamkniętym, jak stary marszałek, rozgadał się więc na piękne, udzielając młodzieńcowi w obfitości żądanych szczegółów.

Paweł zaczął dyplomatycznie od dalszych sąsiedztw, które były mu najobojętniejsze w świecie, słuchając wywodów adwokata na pozór z wielką uwagą, a w gruncie znudzony niemi śmiertelnie, wreszcie rzucił od niechcenia pytanie, o to jedno, jedyne, co go obecnie na świecie całym interesowało:

— Jeszcze jest mała posiadłość w okolicy Felseneck... nie mogę sobie przypomnieć nazwiska... należy o ile mi się zdaje do pewnej damy niedawno owdowiałej?

— Ah! pan baron myśli zapewne o wsi Rosenberg? Jest obecnie w posiadaniu pani Hertenstein.

— To! to! właśnie! Poznałem tę damę przypadkiem w Wenecji... wprawdzie bardzo pobieżnie... wypada mi jednak, odwidzając innych sąsiadów, złożyć również wizytę i w Rosenberg. Musisz tam bywać niezawodnie szanowny doktorze?

Adwokat z dumą podniósł głowę.

— Ależ bywam nawet bardzo często u pani Hertenstein! Mam sobie oddane wszystkie jej interesa i mogę nawet śmiało powiedzieć, iż należę do kółka ściślejszego jej przyjaciół. Zaszczyt ten spotyka mnie z tytułu dawnej zażyłości, gdyż znałem tę damę, jeszcze przed jej zamęściem.

Pawłowi wydał się w tej chwili sztywny i suchy adwokat zachwycającym. Przysunął się wraz z krzesłem do niego bliziuteńko.

— Jesteś zatem kochany mecenasie sprawnym doradcą i przyjacielem domu? Czy dawno pani Hertenstein owdowiała?

— Rok właśnie minął. Prezydent Hertenstein umarł jakoś pod koniec lata.

— Prezydent Hertenstein? — wypatrzył się na niego Paweł ze zdziwieniem. — Przypominam sobie teraz, iż czytałem w dziennikach o jego śmierci... ależ to był starzec blisko ośmdziesięcioletni!

— Tak jest... różnica wieku między małżonkami była uderzającą. Miała lat ośmnaście gdy szła z prezydentem do ołtarza.

— Z starcem zgrzybiałym! Ależ mój Boże! cóż ją zmuszało do związku tak niestosownego?

Adwokat uśmiechnął się trochę pomięszany.

— Łatwo odgadnąć powody, które ją do tego kroku skłoniły. Sierota, ze sfery mieszczańskiej, do tego zupełnie bez majątku, nie odrzuca takiej partji. Prezydent pochodził z dobrej szlachty, zdawał się bardzo bogatym, mógł więc pod każdym względem, zapewnić żonie świetne stanowisko.

— A więc to było małżeństwo konwencjonalne, dla... stanowiska? — wycedził Paweł ironicznie.

— No, zapewne... małżeństwo, za którem z jej strony li zimny rozum przemawiał, tłumiąc żywsze serca bicie. Młoda dama, jest blizką krewną proboszcza w Werdenfels, ten ją polecił ówczesnej dziedziczce Rosenbergu, kanoniczce Hertenstein. Starej i chorowitej pannie, nakazali lekarze przepędzić zimę we Włoszech i wtedy zapragnęła młodej i wykształconej osoby do towarzyszenia jej w podróży. Gdy na wiosnę powróciła z Wenecji, odwidził ją na wsi, podczas ferji sądowej, brat rodzony, prezydent Hertenstein, a bawiąc w jej domu czas dłuższy (był wdowcem od dawna) poznał siostry towarzyszkę, został jej wdziękiem olśniony, oczarowany, i wreszcie wystąpił z oświadczeniem formalnem. W trzy miesiące później wzięli ślub w kościele parafialnym. Rosenberg należy do parafji Werdenfels.

— I byłoż szczęśliwem to małżeństwo tak straszliwie niedobrane?

— Najszczęśliwsze! Młoda dama zajęła w stolicy nader świetne stanowisko, a mąż dumny z takiej żony, i kochający ją do szaleństwa, odgadywał i uprzedzał każde jej życzenie, chociażby najkosztowniejsze.

— Zapewne! Cóż mogła innego znaleźć? Czegoż zresztą szukała w związku tak niestosownym, jak nie blasków zwodniczych, które jej daje wielki majątek? — Paweł wydął usta ironicznie i gorżko się uśmiechnął: — A od śmierci męża, czy znowu bawi stale we Włoszech?

— Wcale nie. Wróciła natychmiast na wieś i tylko na czas krótki, w ważnym interesie, musiała udać się za granicę. Pojutrze oczekujemy jej powrotu.

— Muszę więc wstrzymać się cokolwiek z wizytą — Paweł powstał, wyciągając dłoń na pożegnanie. — Zająłem niemiłosiernie wiele czasu szanownemu mecenasowi.

— O! przeciwnie! Jestem uszczęśliwiony ze sposobności nadarzonej, poznania osobiście jednego z baronów Werdenfelsów. Pierwszy raz w życiu ten zaszczyt mnie spotyka, chociaż od dawna udzielił mi łaskawie pełnomocnictwa baron Rajmund Werdenfels, i we wszystkich sprawach prawnych jego osobę zastępuję.

— I pan więc stryja mojego nie widujesz? — Paweł wzruszył ramionami na to nowe dziwactwo, żeby nawet z swoim adwokatem nie chcieć osobiście konferować.

— Nigdy jeszcze nie miałem tej przyjemności, chociaż baron Rajmund zaszczyca mię zaufaniem nieograniczonem. Raporty moje odbiera listownie, i tą samą drogą instrukcji mi udziela. Pański stryjaszek ma pod tym względem poglądy cokolwiek.. oryginalne.

— O tak! nadzwyczaj oryginalne! — powtórzył Paweł z ciężkiem westchnieniem. — Co się więc tyczy moich własnych interesów?...

— Będą załatwione w jak najkrótszym czasie! Oto niech się pan baron bynajmniej nie troszczy!

Paweł raz jeszcze najgrzeczniej podziękowawszy, odjechał. Miał zatem wszystkie szczegóły, tyczące się pani Hertenstein, których pragnął tak gorąco! Nie chciał przyznać się sam przed sobą, a jednak nie mógł stłumić w piersi uczucia dziwnie gorżkiego, nie mógł zapanować nad rozstrojem moralnym, a nawet i fizycznym, który nim owładnął. Co myśleć o panience ośmnastoletniej, prześlicznej i nadzwyczaj wykształconej, która dobrowolnie zrzeka się najpiękniejszego przywileju i najświętszych praw serca młodego, nie pragnie kochać i być nawzajem prawdziwie kochaną, tylko podaje dłoń przed ołtarzem starcowi, wymawia z krwią zimną w obliczu Boga słowa fałszywej przysięgi, i to wszystko poświęca, aby zdobyć świetne stanowisko, aby zabłysnąć na wielkim świecie! Paweł był lekkomyślnym i nieraz dał się wywieść na manowce cudzym złym wpływem, czuł jednak w piersi serce młode, gorące i za wszystkie dobra stryja, za wszystkie skarby świata całego, nie był by wstanie zaprzedać uczuć swoich najświętszych w taką niewolę! Uczuł znowu owe zimno, które go owiało wtedy na pokładzie parowca, gdy piękna, młoda towarzyszka podróży, tak go ostro skarciła za „sny młodociane". W uszach dźwięczał mu dotąd jej głos drżący i pełen goryczy, gdy mówiła ze spokojem lodowatym:

— Życia w ogóle nie wolno prześnić i przemarzyć, trzeba przeciwnie, zajrzeć mu nie raz śmiało w oczy, znieść niejeden zawód... i nikomu nie ufać, tylko liczyć na własne siły!

V.

Rosenberg była to posiadłość nie wielka, ale w najlepszych warunkach co do suchej intraty, bo przeważnie z łąk bujnych złożona, po obu brzegach rzeczki mająca obok tego dwa młyny wodne; dla kobiety samotnej jedyny mająteczek, bez kłopotów, niosący rocznie do dziesięciu tysięcy. Domek niewielki, zbudowany u stoku góry z wszelkim komfortem, przez nieboszczkę kanoniczkę Hertenstein urządzony, w ślicznem malowniczem położeniu, tonął cały w zieleni, a ogród był istnym koszem kwiatów, róż w szczególności, jak gdyby chciał usprawiedliwić nazwę wsi: „Górą róż" nazwanej. I teraz jeszcze mimo późnej jesieni, kwitły obficie róże remontanty, rozlewając w koło woń balsamiczną.

Kanoniczka wioskę z całym inwentarzem żywym i nieruchomym, zapisała na własność bratowej przez nią serdecznie ukochanej. Po jej śmierci, Rosenberg stał pustką, zamieszkały i strzeżony tylko przez damę do towarzystwa, która przyszła na miejsce panny Wilmut, gdy ta została prezydentową Hertenstein. Dopiero jako wdowa, sprowadziła się Anna Hertenstein do wsi jej wyłącznie zapisanej.

W saloniku niewielkim, ale nadzwyczaj gustownie, choć skromnie urządzonym, tak całkiem jak był za

czasów panny Hertenstein, siedziała dzisiejsza właścicielka na małej kanapce i słuchała z uwagą, co jej prawił szeroko i długo o interesach adwokat Freising, podsuwając z papierów to ten., to ów arkusz. Pod oknem, trochę opodal od siedzących, przy stoliku, stał mężczyzna w sutannie i obojczyku księdza katolickiego. Mógł mieć około lat czterdziestu, rysy były ostro markowane, profil twarzy klasycznie regularny, oczy czarne, świdrowate, zdawały się przenikać na skróś najtajniejszą głębię serca i myśli, gdy się w kogo bystro wpatrzyły. Czoło szerokie, naprzód wydane, świadczyło o wyższej inteligencji, wyraz zaś fizjonomji surowy, ponury, zdradzał wielką energję i wolę silną, nieugiętą. Ksiądz nie mięszał się pozornie do rozmowy adwokata z panią Hertenstein, można było jednak łatwo odgadnąć, z brwi ściągniętych i wzroku utkwionego w mówiących, iż słuch wytęża, aby jednego słówka nie stracić z przedmiotu interesującego nie mniej jego osobę, jak i panią Hertenstein.

— Tak więc rzeczy stoją pani prezydentowo — wycedził z powagą urzędową adwokat, papiery składając. — Postąpiłem zgodnie z jej życzeniem, i wszystkie mniejsze sumy wypłaciłem. Zostaje tylko dług jeden, ale najznaczniejszy. Przykro mi bardzo, iż mimo zabiegów najgorliwszych, nie udało mi się wejść w układ z wierzycielem. Pani chciałaś osobiście interes ten załatwić. Czy podróż pani prezydentowej nie była nadaremną?

— Nie zastałam w domu wierzyciela — Anna przysunęła papiery do siebie. — Musiałam gonić za nim aż do Wenecji. Tam jednak otrzymałam rozmówiwszy się ustnie to, czego nie mogliśmy pisemnie dokazać. Zostawia mi rok czasu do spłaty kapitału, zadowalniając się tymczasem zastawą Rosenbergu. Do roku uda mi się może wieś tę sprzedać z wolnej ręki.

— Pani myślisz o sprzedaży Rosenbergu? — zawołał zdziwiony i przerażony. — Wieś przecież nie należy do spadku po panu prezydencie. Panna Hertenstein zapisała ją pani wyłącznie i nikt nie może prawa sobie do niej rościć!

— Wiem o tem dobrze — odrzekła młoda kobieta — czuję jednak moralny obowiązek poświęcić wszystko, co posiadam, aby tylko oczyścić imię i uratować honor męża mojego. Oddałam dobrowolnie w zastaw ten majątek.

— Racz pani darować, iż jestem może zbyt szczerym — Freising potrząsł głową zmartwiony — ale popełniłaś czyn nader nierozważny. Zaszczyciwszy mnie raz na zawsze swojem zaufaniem, jako prawnego doradcę, czemuż nie było wstrzymać się cokolwiek z krokiem stanowczym i na mnie zaczekać? Przyniosłaś pani męża pamięci ofiary tak wielkie, na jakie żadna inna kobieta zdobyć by się nie potrafiła. Pensja, którą rząd wdowom po prezydentach sądu wypłaca, jest tak małą, iż zaledwie by wystarczyła na opędzenie potrzeb najskromniejszych. Rosenberg stanowi ostatni punkt oparcia, ostatnie źródło utrzymania na przyszłość.

— Ale też nim pokryję dług ostatni. Chcę być wolną od wszelkich ciężarów. Aby nasze nazwisko czystem zostało, żadna ofiara nie wydaje mi się zbyt wysoką!

Adwokat usta otwierał, zapewne aby dalej przeciw tej decyzji energicznie protestować, gdy nagle ksiądz się wmięszał do rozmowy.

— Moja kuzyna ma słuszność zupełną — rzekł tonem suchym, nie znoszącym sprzeciwienia. — Spełnia tylko świętą powinność, ratując pamięć męża całym swoim majątkiem. Zapatrujemy się na tę sprawę z innego zupełnie stanowiska, niż litera prawa i prosty interes.

— Ha! skoro i ksiądz proboszcz przeciw mnie! — adwokat zżymnął ramionami — jestem naturalnie przegłosowany. Nie cofam jednak słów moich, które miały na względzie jedynie dobro pani prezydentowej.

— Nigdy o tem nie wątpiłam! — Anna wyciągnęła rękę, uścisnąwszy z całą serdecznością dłoń prawnika. — Liczę na pana w każdym razie, jako na prawdziwego i wiernego przyjaciela.

Mecenas podniósł piękną rączkę z rycerską galanterją do ust i ucałował z namaszczeniem. Rysy jego, zwykle zimne i bez wyrazu, dziwnie się przytem ożywiły.

Uśmiech na poły drwiący, na poły pogardliwy, zaigrał około wązkich i bladych ust księdza, na ten dowód hołdu głębokiego ze strony sztywnego prawnika. Odszedł od okna i przystąpił bliżej do siedzących.

— Idzie więc teraz o to tylko, aby wieś sprzedać jak najkorzystniej — wmięszał się ponownie do rozmowy. — Mając rok przed sobą, jest nadzieja wszelka, iż znajdzie się nabywca. Liczymy w tem na pana łaskawe pośrednictwo.

— Zrobię co tylko będzie w mocy mojej! — zapewnił adwokat uroczyście, z krzesła powstając. — Spodziewam się, iż ksiądz proboszcz jesteś przeświadczony o mojej gorliwości, gdy idzie o sprawę tyczącą się pani prezydentowej!

Wziął w rękę kapelusz.

— Jakto, nie zostajesz mecenasie na objedzie? — Anna uprzejmie spytała. — Byłam tego pewną!

— Dziś muszę wyrzec się tej wielkiej dla mnie przyjemności i wcześniej niż zwykle pożegnać panią prezydentowę — Freising skłonił się nisko, z wielkiem uszanowaniem i z westchnieniem, które zdradzało jak mu ciężko odejść i jakby chętnie pozostał. — Powołują mnie do miasta interesa zwłoki nie cierpiące.

Był gotów wycisnąć drugą poprawniejszą edycję pocałunku, na rączce gospodyni domu, wstrzymał go jednak w czułym zapędzie wzrok księdza, drwiący i przenikliwy. Zadowolniwszy się zatem uściśnieniem podanej mu miękkiej dłoni, pożegnał się i wyszedł.

Pani Hertenstein, nie ruszając się z kanapki, papiery dalej przeglądała, proboszcz Wilmut postąpił ku niej i również wziął do rąk kilka arkuszy.

— Znaczne, bardzo znaczne sumy zostały już pokryte — przemówił po chwili milczenia. — Nie pojmuję, zkąd wzięłaś Anno potrzebne na to pieniądze?

— Miałam bardzo wiele klejnotów — odrzuciła — a perły i brylanty nie tracą nigdy wartości. Oddałam wszystko, do ostatniej szpileczki! Na szczęście wystarczyło!

— Tak! tak! Prezydent obsypywał cię błyskotkami, a dom cały zmienił w istną świątynię, w której bóstwo jego królowało! Nic mu się nie zdawało dość pięknem i kosztownem, dla żony ukochanej! Słał ci pod stopy tęczowe blaski przepychu... za cudze pieniądze, a tyś to wszystko z zimną krwią przyjmowała!

W słowach tych brzmiała gorzka wymówka; młoda kobieta broniła się z godnością i spokojem niezachwianym.

— Nie znałam zupełnie męża stosunków majątkowych, a nie wniósłszy mu grosza posagu, nie wypadało mi pytać o to. Utrzymywał mnie zawsze w mniemaniu, iż jest bardzo bogatym i żyjemy tylko odpowiednio do jego dochodów. Ani przez myśl mi nie przeszło, iż nic więcej nie posiada prócz znacznej pensji i dochodów z majątku mnie przez pannę Hertenstein zapisanego. Byłoby to z pewnością nam na utrzymanie roczne wystarczyło, gdyby na nieszczęście...

— Nie był się wdał w spekulacje pan prezydent! — wpadł jej ksiądz w słowo. — Naturalnie! pieniądz bezmyślnie wyszafowany, chciało się zyskać gdzie indziej łatwym sposobem! I starzec siwowłosy, dobry szlachcic, nie wstydził się stanąć obok żydów szachrajów! nie wstydził się zostać nikczemnym giełdowiczem!

— Nie tykajmy Jerzy pamięci umarłych! — Anna spojrzała na księdza surowo. — Nie chcę i nie mogę oskarżać człowieka, który przez lat pięć, był moim najczulszym i najlepszym przyjacielem! Jeżeli zgrzeszył, to li przez słabość dla mnie.

— Raczej przez słabość dla samego siebie! — uzupełnił ksiądz Jerzy szorstkim tonem — aby dogodzić szalonej próżności! Jego piękna żona musiała być wszędzie pierwszą, jaśnieć jak gwiazda na wielkim świecie, ściągać na siebie oczy i być przez wszystkich uwielbianą! Dar to niebezpieczny, ta twoja piękność Anno, która serca zniewala i najdumniejsze czoła ściele ci pod stopy. Dotąd działała ona złowrogo, nikomu szczęścia nie przynosząc!

— Mąż mój był szczęśliwym! — Anna z naciskiem odrzuciła. — A ja starałam się przynajmniej zachować szczęścia pozory.

— Istotnie, byliście małżeństwem wzorowem! Prezydent nie mógł znaleźć dość słów uznania i uwielbienia dla swojej żony, a i świat cały podziwiał twoje dla starca poświęcenie. Byliby może mniej szczodrzy w pochwałach, gdyby wiedzieli, co cię w jego ramiona wtrąciło.

— Czyż i to jeszcze zechcesz mi wymawiać? — a w tonie młodej kobiety, była gorycz niesłychana, i głos jej drżał oburzeniem. — Któż jak nie ty sam namówił mnie do przyjęcia ręki prezydenta? Tym krokiem zrywałam istotnie najskuteczniej z przeszłością i skróciłam męczące wahanie się w raz powziętem postanowieniu.

Ksiądz patrzał na nią z dziwnym w oczach wyrazem. Czytało się w tem spojrzeniu jakby smutek ponury, a jednocześnie dumne i zimne zadowolenie.

— Nie inaczej, tak uczyniłem! Szło przedewszystkiem, aby uwolnić cię z więzów ohydnych. Wierzyłaś nadto w twoją siłę i wytrwałość... a byłaś w rzeczy samej słabą i chwiejną. Dla tego radziłem ci świętą powinnością odgrodzić się od przeszłości. Znając twój charakter, wiedziałem, że dane przyrzeczenie potrafisz uszanować.

Anna nic nie odpowiedziała. Podparłszy dłonią czoło, utonęła w smętnej zadumie. Wilmut mówił dalej:

— Myślałem, iż będziesz najbezpieczniejszą przy boku starca sędziwego, któremu wiek sam nakazywał, prowadzić życie ciche i spokojne. Tymczasem starzec, szałem miłości upojony, pchnął cię własną dłonią w wir uciech i roskoszy światowych, pysząc się twoimi tryumfami w sferach najwyższych. I tobie nie były te hołdy zupełnie obojętnemi. Czyż byś mogła powiedzieć z ręką na sercu, że ci łatwo będzie zstąpić z tej wyżyny i wejść znowu w dawne nader skromne stosunki?

— Nie utrzymuję bynajmniej, żeby mi coś podobnego przyszło z łatwością. Każde zstępowanie niżej ma w sobie coś wielce upokarzającego. Potrafię jednak zastosować się do nieubłaganej konieczności.

— Wiedziałem o tem! Wam, ludziom światowym, przepych i blaski zwodnicze stały się nieodzowną życia potrzebą, chlebem powszednim! Czy zrobiłaś już jaki plan na przyszłość? Gdzie zamieszkasz gdy Rosenberg zostanie sprzedanym? Myślę, iż mnie pozwolisz postarać się dla ciebie o stosowne pomieszczenie.

— Dzięki stokrotne za dobre chęci — Anna zimno odrzuciła. — Nie trudź się tem jednak. Potrafię i sama znaleźć dla siebie mieszkanie. Moglibyśmy nie zgodzić się w zdaniu, a ty wymagasz poddania się niewolniczego, każdemu twojemu kaprysowi. Pamiętam o tem dobrze, jeszcze z owych czasów, gdym sierotą zostawszy, w twoim domu przytułku chwilowego szukała.

— Nie chwal się daremnie — ksiądz uśmiechnął się ironicznie. — Nie było wypadku, żebyś kiedy woli mojej się poddała. Twoja natura była od lat najmłodszych skłonniejszą do buntu przeciw wszelkiej władzy, niż do posłuszeństwa dla kogokolwiek. Mimo całej surowości w postępowaniu, nie potrafiłem nigdy złamać twego uporu, a co mi się nie powiodło z młodziutką Anną Wilmut, czyżby mogło mi się udać z prezydentową Hertenstein, o tyle lat starszą i doświadczeńszą? Przy boku starca przez pół zdziecinniałego, który był tylko twoim najniższym służką i podnóżkiem, stałaś się jeszcze dumniejszą i stokroć samowolniejszą, niż

dawniej. Mniejsza zresztą gdzie chcesz zamieszkać, byleś tak się urządziła, żeby uniknąć na wszelki wypadek spotkania niemiłego, na co w Rosenberg możesz być w każdej chwili narażoną. W tak blizkiem sąsiedztwie z tym...

— Jerzy!

W wykrzykniku gwałtownym odzywało się oburzenie, zmięszane z jakąś dziwną trwogą. Wilmut zamilkł, groźnie czoło zmarszczywszy.

— Cóż tedy? — spytał po krótkim przestanku.

— Przyrzekłeś mi uroczyście wtedy, że nigdy więcej tej kwestji nie poruszysz. Mam twoje słowo kapłańskie! Chciejże o tem nie zapominać!

Oczy czarne, płomieniste Wilmuta, wpatrywały się badawczo w twarz piękną zawsze, mimo śmiertelnej bladości, która ją obecnie powlekała; było to jedno z tych spojrzeń, któremi ksiądz nawykł był czytać w sercach ludzkich, niby w księdze otwartej, nawykł do głębi dusz przenikać.

— Więc to dotąd nie wygasło? — szepnął głucho. — Jeszcze nic?...

Pierś młodej kobiety podniosła się ciężkiem westchnieniem.

— Wiesz przecie najlepiej, że wszystko... od dawna... skończone!... Czyż wtedy nie stało się po twojej woli?... Czyż nie uczyniłam tak, jakeś ty żądał?... Cóż możesz mi jeszcze zarzucić?...

— Podług mojej woli? Kiedyż to ty dałaś się ugjąć? kiedyż poszłaś za inną wolą niż twoja własna?! Ustąpiłaś li przed prawdą nieubłaganą, którą przed tobą odkryłem. Tyle tylko zdziałałem, żem ci z ócz zdjął kataraktę, aleś ty nigdy nie czuła wdzięczności dla lekarza, który cię uratował!... Byłabyś najchętniej ślepą zostać chciała!

— Mylisz się Jerzy — rzekła cicho, głosem bez dźwięku. — Dziękowałam ci wtedy... dziękuję i dziś tak samo...

Wilmut chciał coś odpowiedzieć, gdy drzwi od sieni gwałtownie otworzono, a do saloniku wbiegła pędem młodziutka dziewczynka. Była w kapeluszu i w ciepłej zarzutce, długie warkocze, żadną szpilką nie uwięzione, spływały aż po kolana, a twarzyczka świeża, z wyrazem na pół dziecinnym, jaśniała swobodą i wesołością.

— Otóż jestem! — wykrzyknęła czystym, srebrnym głosikiem. — Ach! to była roskoszna przejażdżka! Zawanturowałyśmy się, aż po za granice zaczarowanego zamku Felseneck i o włos byłybyśmy...

Urwała wpół słowa, spostrzegłszy proboszcza i dodała tonem odmiennym, bardzo cichutkim i strwożonym:

— A! ty tutaj kuzynku... może przeszkadzam?

— Tak jest, przeszkadzasz nam Lily — ksiądz odrzucił lodowato. — Wogóle nie wpada się z takim impetem do salonu, jak jaki chłopak dziki i niesforny. Kiedyż wreszcie nauczysz się manier stosownych i przyzwoitych dla dorosłej panienki?

Lily zrejterowała czemprędzej pod skrzydła opiekuńcze pani Hertenstein, a czując się u boku siostry bezpieczniejszą, podniosła wzrok na karcącego ją tak surowo kuzyna, z wyrazem dziecka zadąsanego, ale i przestraszonego jednocześnie. Bojaźń widocznie przeważała, gdyż nie odważyła się na żadną odpowiedź, Anna tylko ujmując się za nią, łagodnie przemówiła:

— Lily dopiero lat szesnaście kończy. Pozwólże jej używać swobody, a choćby nawet po trochę i swawoli młodocianej! Życie, z orszakiem bolów i zawodów, aż nadto prędko zniknie i rozwieje młodości ułudy!

— Psujesz i rozpieszczasz siostrę! — Wilmut szorstko odrzucił. — Źle ją przygotowujesz na twardą walkę z życiem. Zamiast uczyć ją pracy, pozwalasz jej na głupstwa, na dziecińswa, z których już dawno wyrosła. Powinnabyś raczej oddać mnie Lily w opiekę. Byłoby to z pewnością dla niej korzystniejszem!

Dziewczynka wstrzęsła się jak w febrze, i spojrzała na siostrę z wyrazem tak śmiertelnej trwogi, że Anna mimowolnie otoczyła ją ramieniem, jakby chroniąc biedne dziecko, przed zbliżającem się niebezpieczeństwem, i stanowczo odrzekła:

— Nie, z moją małą, kochaną Lily, nic mnie nie rozłączy, jakiekolwiek by zmiany zajść mogły w mojem położeniu!

Ksiądz wzruszył ramionami.

— Prędzej czy później, będziesz do tego zmuszoną, w razie gdyby Rosenberg nie dało się sprzedać bardzo a bardzo korzystnie. Ale już wielki czas na mnie! Do zobaczenia Anno.

Podał jej rękę, Lily zaledwie głową kiwnąwszy na pożegnanie. Ta, zdawała się wielce uszczęśliwioną, iż uniknie dalszej krytyki i łajania, zdjęła z wielką powagą kapelusz i zarzutkę, nisko dygnąwszy. Zaledwie jednak drzwi się zamknęły za tyranem przez nią znienawidzonym, kapelusz poleciał jak piłka na drugą sofkę, zarzutka poszła tą samą drogą, a panna Lily wydęła śliczne, malutkie, a czerwone jak wiśnia usteczka, z minką rezolutną, gotową do walki... gdy już nie było do niej nikogo!

— Gdybym była przeczuła, że Jerzy jest u ciebie, nie byłabym się z pewnością wejść odważyła! — znowu dreszcz ją od głowy aż do stóp przejął. — Jak tylko z daleka zobaczę, iż zwraca kroki swoje ku nam, zdaje mi się zawsze, iż byłabym gotową wdrapać się na sam szczyt, tak powszechnie osławionej *Dziewicy z lodu*, byle tylko ujść przed jego wzrokiem badawczym i ponurym!

— Lily! — napomniała ją starsza siostra, tonem ostrej wymówki, ale dziewczątko nie dało się powstrzymać w gwałtownym uczuć wylewie, i dalej trzepało oburzone:

— Czy ty go może kochasz? Lękasz się tylko jak i reszta świata! Chociaż tyś jedną, jedyną, której przyzna czasem słuszność i pozwala własne zdanie objawić. Całe Werdenfels trzyma zresztą pod biczem swojej tyranji! Żaden z wieśniaków nie śmie kroku

zrobić, nie poradziwszy się proboszcza, a skoro Jerzy rozkaz wyda, słuchają go ślepo, jak wojsko najkarniejsze dowódzcę. Gdybyś mnię istotnie miała oddać w jego ręce!... Brrrr!!! zimno śmiertelne przyjmuje mnię do szpiku i kości, na tę myśl samą!

— Jesteś dzieckiem szalonem i niewdzięcznem! — skarciła ją Anna tonem surowym. — Zapomniałaś ile Jerzy dla nas uczynił, gdy nagle osierociawszy, nie miałyśmy nikogo pod słońcem, ktoby chciał nam podać rękę pomocną! Wtedy miał jeszcze bardzo małe dochody i do tego utrzymywał matkę staruszkę, niedołężną i ociemniałą. Nie wahał się ani chwili i wziął nas obie pod swój dach gościnny. Prawda, żeś ty wtedy była za małą, żeby ocenić jego dobrodziejstwa i zrozumieć przykre nasze stosunki. Miałaś zaledwie lat sześć.

— Dla tego tylko mogłam w jego domu wytrzymać! Byłam dla niego istotką za drobną i za mało znaczącą, aby raczył na mnie zwrócić uwagę. Oddał mnię też pod wyłączną nieboszczki cioci opiekę. Później, gdy poczciwa staruszka umarła, a ja mogłabym była dostać się pod jego dłoń żelazną, zmieniły się na szczęście stosunki. Tyś zamąż wyszła i oddałaś mnię na pensją, a później do seminarjum nauczycielek. Tobą atoli opiekował się zawsze z szczególną troskliwością. Nie pojmuję, żeś coś podobnego znieść potrafiła!.... Czuję, że byłoby to nad moje siły!

— Zapewne! Ciebie byłby zgniótł i złamał, moja ty biedna, wiotka roślinko! — Anna z miłością macierzyńską przytuliła ciemną, lśniącą główkę do piersi. — Mnie Bóg stworzył silniejszą, a surowość nieubłagana Jerzego nie była dla mnie bez korzyści. Zahartowała mnię na wszelkie losu pociski, uzbroiła do ciężkiej walki... z życiem.

— Tak! tak! Ty także potrafisz być surową i nieubłaganą. Nauczyłaś się tego od szanownego kuzynka. A najmniej miłosierną byłaś dla samej siebie!

— Czy jestem srogą i dla ciebie?

— Nie! nie! moja najdroższa Anulko! Czyż mogłabym pomyśleć o czemś podobnem? — młode dziewcze rzuciło się siostrze na szyję, tuląc się do niej pieszczotliwie.

Wielkie było podobieństwo familijne między dwiema siostrami, mimo, iż były to dwa typy kobiece, zupełnie odmienne. Drobniutka i zgrabniutka Lily figurka, sięgała zaledwie głową do ramion, wyniosłej, majestatycznej postaci pani Hertenstein. Bujne, miękkie warkocze dziewczątka, miały tę samą barwę, ale bez odbłysku złota roztopionego w zagięciach. Oczka ciemne, ruchliwe i figlarne, nie posiadały owej głębi tajemniczej, nie pociągały ku sobie owym czarem, któremu nikt prawie oprzeć się dotąd u Anny nie zdołał. Lily patrzyła na świat wesoło, a jej buzia pełna i rumiana, wyrażała wszystko raczej, tylko nie energję i siłę do walki z losu przeciwnościami. Starsza siostra była pięknością klasyczną, która wszędzie i zawsze musiała wyjść zwycięzko, Lily była milutkiem i ładniutkiem stworzeńkiem, sympatycznem wielce szczerą naiwnością i swobodą prawdziwie dziecięcą w każdym przypadku. Nie mogła jednak wytrzymać z siostrą porównania. Była skromną, polną różyczką, obok pysznej białej lilji, wznoszącej dumnie i wysoko królewską swoją koronę.

— O czem to Jerzy wspominał? — Lily wtrąciła. — Czyżbyś myślała o sprzedaży Rosenbergu? Chciałaś przecie stale na wsi zamieszkać?

— Tak... było to istotnie mojem najszczerszem życzeniem. Trudno to będzie jednak przeprowadzić. Rosenberg potrzebuje nakładów... utrzymanie domu i ogrodu, wymaga licznej służby... a my... będziemy musiały urządzić się o wiele skromniej....

— Czyż nie jesteś bardzo bogatą? — dziewcze spojrzało na siostrę z naiwnem zdziwieniem. — Tak paradnie mieszkaliśmy w stolicy!

— Jestem wdową — Anna odrzekła wymijająco. — Znaczna pensja ustała ze śmiercią męża mojego, a chociaż nie grozi nam bynajmniej niedostatek, będziemy musiały ograniczyć się nie w jednem.

Lily przyjęła to oświadczenie najobojętniej w świecie! Dla niej słowa: ubóstwo, bogactwo, były bez znaczenia. Nie mogła pojąć tychże doniosłości, bo jej dotąd w życiu niczego nie zabrakło. Jeżeli dawniej, gdy ją nieraz siostra brała do siebie, była olśniona przepychem, a pałac prezydenta i całe otoczenie Anny, wydawały jej się czemś bajecznem, to niemniej podobało jej się życie na wsi i swoboda zupełna, żadnemi więzami wielkoświatowej etykiety nie krępowana. Nowa zmiana zapowiadała jej na pewno, nowe, nie znane przyjemności. Była jeszcze w tym wieku szczęśliwym, który nie lubi nic złego naprzód przewidywać, a rad jest każdej w życiu odmianie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

L'OMBRA.

NOWELLA.

(*Ciąg dalszy*).

Nazajutrz rano, skoro oczy otworzyła, zapomniała o wszystkich troskach wczorajszych, a tylko to zapewnienie roskoszą niewypowiedzianą pierś jej rozpierało:

— On tutaj! tutaj! Ze mną pod jednym dachem!

Z większą niż zwykle starannością, ułożyła swoje cudne, złote warkocze, ubrała się skromnie, ale ze smakiem wytwornym, długo, długo, stała przed dużem zwierciadłem, aby zlustrować toaletę, czyby jeszcze czego nie dodać, wreszcie z sercem bijącem udała się do księżnej. Zdawało jej się, że staruszka jeszcze czulej niż zwykle ją wita; musiała zapewne pochwalić już przed synem młodą, a tak jej sympatyczną kuzynkę. Gdy obie damy zeszły na dół, spotkały na schodach Willjama. Erminja spłonęła rumieńcem, odważnie je-

dnak i serdecznie dłoń mu ścisnęła i siedząc naprzeciw podczas śniadania, przypatrywała mu się uważnie. Jak wczoraj, tak i dzisiaj mimo wszelkich perswazji, któremi starała się sama siebie pocieszyć, serce jej ścisnęło się boleśnie, patrząc na ten wzrok zimny, na tę minę obojętną, gdy w jej pamięci tkwiły dotąd oczy promieniste Willjama, rzucające na nią spojrzenia pełne ognia i najżywszej czułości. Mówił mało, prawie tylko odpowiadał zapytany, był grzeczny, ale nic po nadto, jakby go całe towarzystwo bynajmniej nie zajmowało. Erminja słuchała głosu jego z zachwytem.

Przyszła kolej na podróż odbytą przez Willjama. Lord Auston zwrócił się do niego z zapytaniem:

— Zwidziwszy Włochy, zrobiłeś książe i do Wiednia małą wycieczkę, o ile mi się zdaje. Czyś słyszał powtórnie ową sławną artystkę, która cię w *Purytanach* tak była zachwyciła?

— Tak jest, słyszałem ją w nowej operze maestra V***.

— Opowiadano co może o jej awanturkach?... Czy dowiedziano się nareszcie kto to taki?

— Nic o niej nie słyszałem! — odciął Willjam krótko i z pewnem rozdrażnieniem.

— Niepodobna, żeby tak piękna osoba niemiała burzliwej przeszłości.

— Jest równie czystą jak piękną!

— Oh! znamy się na skromności dam zakulisowych! — lord Auston uśmiechnął się ironicznie.

— Ręczę, że prowadzenie się *l'Ombry* jest równie nieskazitelne, jak każdej z naszych lady salonowych!

Zapanowało głuche milczenie, niema, ale nader wyrazista nagana zdania tak niestosownego i tak zuchwale rzuconego w oczy całemu towarzystwu.

— Toż to mama wsypie burę sążnistą synkowi! — szepnął pan de Bocé Erminji. — Ale bo też śmiałość nie do przebaczenia, bronić cnoty aktorki w sposób tak impertynencki!... Zobaczysz droga lady, iż myśli nam się wymknąć niedługo i znowu gdzieś w świat poleci.

W istocie po śniadaniu Erminja zauważyła u księżnej humor niezwykle kwaśny i silne rozdrażnienie. Żałowała, iż syn jej w tak dziwnem świetle się przedstawia, na wielką swoją niekorzyść, narzekała na podróże, że nadto młodzież emancypują, dając sposobność ludziom dobrze urodzonym a niedoświadczonym, bywania w towarzystwach nadto mięszanych, które psują im obyczaje, przewracają w głowie, i mogą nawet na całą przyszłość młodzieńca wywrzeć wpływ fatalny!

— Racz uwzględnić droga ciotuniu, iż książe bawił dłuższy czas w kraju, gdzie sztuki piękne są w wielkiem poszanowaniu...

— Tak dziecię — księżna przerwała Erminji niecierpliwie. — Szanuję i czczą sztuki piękne, ale nie płatne śpiewaczki! Dziękuję ci jednak, moja najmilsza, że bierzesz w obronę tego szaleńca. Wie już, żeś równie dobra jak piękna. Obchodź się z nim, jak z najbliższym kuzynkiem, błagam cię o to usilnie. Liczę najwięcej na twoje wdzięki i urok, że przyswoisz powoli tego dzikiego tabuna!

Erminja niczego nie pragnęła goręciej. Pod jednym dachem żyjąc, łudziła się słodką nadzieją, że wybije wreszcie godzina, w której ją Willjam pokocha. Księżna dopomagała jej w tem ile mogła. Przed synem nie przestawała wychwalać rzadkich przymiotów duszy i ciała pięknej kuzyneczki, Erminji zaś perswadowała, iż syn jej wielce zyskuje na bliższem poznaniu. Willjam tymczasem był jednakowo zimnym i w sobie zamkniętym, ożywiał się tylko cokolwiek sam na sam ze swoim starym przyjacielem.

— Wracasz nam tedy — przemówił hr. de Bocé, gdy wieczorem przechadzali się po terasie zamkowej — nieuleczony z szału nieszczęsnego i to dla kogo?! Dla kobiety, która najpewniej ugania po świecie zimnym z jakim nikczemnym *Histrionem*, którego przeniosła nad szlachetnego księcia Whitefield!

— Dla czego obrażasz mię przyjacielu przypuszczeniami obelżywemi a fałszywemi? Jestem i tak dosyć nieszczęśliwy i do życia zniechęcony. Czyż się godzi pomnażać jeszcze mój ból i tęsknotę zabijającą?!

— Nie odszukałeś jej zatem?

— Nie! Przepadła bez śladu, mimo poszukiwań najstaranniejszych! Wiem tyle, iż odrzuciła propozycje najświetniejsze do Londynu i Paryża. Zniknęła właśnie w chwili, gdy najwyższe tryumfy ją czekały... Tak samo jak przedtem w Medjolanie!

— Spodziewam się, żeś z nią mówił przynajmniej?

— Bynajmniej nie!... Nie przyjmowała nikogo i nigdzie jej spotkać nie można było...

— Eh! niezdary z was dzisiaj! Za moich lat młodych byłbym się wdarł do niej koniecznie... podstępem, przemocą, jakkolwiek! — machnął ręką lekceważąco hr. de Bocé, zaintrygowany mimowolnie tą zagadką żyjącą. — Byłbym się musiał dowiedzieć dokąd odjeżdża i z kim, bo przecież samą nie była.

— Nikt nie mógł mi udzielić najlżejszej wskazówki. Odjechała zapewne z tym starcem, który jej na krok nie odstępował za kulisami... ale i jego nikt nie znał!... Powiedziano mi, że jest Włoszką, przeszukałem, przetrząsłem półwysep włoski wszersz i wzdłuż! Inni utrzymywali, że już jej nie ma w Europie, ale głos jakiś tajemny szepcze mi, że jest blisko i że muszę ją znaleźć! Wszystko jest w tej kobiecie dziwnie zagadkowem. Nie tylko znika z oczu jak cień prawdziwy, nie tylko udaremnia wszelkie poszukiwania, zaciera wszelki ślad po sobie, ale nawet nie można wiedzieć dla czego występuje, bo wszystkie pieniądze zyskane ubogim rozdaje. Obiegają o niej pogłoski, iż jest żoną melomana zapalonego, a przytem magnata, miljonowego bogacza, który pozwala jej spiewać od czasu do czasu publicznie, aby upajać się jej cudnym spiewem, przy akompaniamencie całej orkiestry doborowej, ale potem czemprędzej ze swoim skarbem umyka.

— Wszystko to jest dziwnie tajemnicze!

— Wrodzona dystynkcja w każdym ruchu dowodzi, iż to osoba z najwyższych sfer towarzyskich, a nie córka jakiegoś ubogiego włoskiego muzykusa, jak niektórzy utrzymywali. Wszystko co się jej tyczy, osłonięte mgłą tajemniczą, bo i *L'Ombra* nie musi być jej nazwiskiem prawdziwem... Ach! doprawdy, w tej niepewności można rozum postradać!

— Czego ty dowodzisz najlepiej! — uśmiechnął się hrabia.

— Jakże by mogło być inaczej? Wszystko mnię w niej zachwyciło! Głos cudowny, talent niezrównany, piękność pierwszorzędna, a przytem w oczach i w całej postawie taki wdzięk uroczy, tyle niewinności, czystości, dobroci anielskiej, taki wyraz inteligentny!... Gdy pomyślę, że mógłbym się z nią więcej nie spotkać, życie staje mi się nieznośnym ciężarem!

— Tylko się tak nie egzaltuj! — próbował go hrabia reflektować. — Jakże można taki kłaść nacisk na kaprys przelotny! Przyznaję, że tajemnica, którą się to bóstwo zakulisowe osłania, może podsycić młodzieńczą fantazję i zaostrzyć ciekawość, ale szału chwilowego nie godzi się mianować stałem uczuciem! Gdzież rękojmia, że na to zasługuje?

— Dałbym w zakład własną głowę, że ten wzrok gołębi nie myli, że ten cudny uśmiech, pełen dziecięcej naiwności nie oszukuje! Warta choćby tronu i korony królewskiej! Jedno mam tylko życzenie, aby raczyła podjąć od stóp swoich nędzną moją mitrę, którą raz już wraz z ręką i sercem mojem, oddałem jej na własność!

— Niech Bóg nas od tego zachowa! — hrabia wymówił te słowa tonem uroczystym. — Palnąłbyś głupstwo nie do przebaczenia, a matce zadałbyś tem może cios śmiertelny! Ale do tego nie przyjdzie... prawda Willjamie?... Wolno szumieć po trochę w młodym wieku, lecieć na oślep w sidła, które na nas piękne oczka zastawiają, dać się obskubać z pieniędzy, stracić nawet cośkolwiek z błogich ułud i marzeń różowych, byle w czas się zatrzymać i wytrzeźwić z niebezpiecznego upojenia. Pomyśl, żeś u matki jedynakiem, że w tobie jej cała nadzieja! Powtarzam ci raz jeszcze, zabiłbyś ją wyborem podobnym... Przebacz zbytnią może śmiałość staremu przyjacielowi, że ci jak ksiądz jaki prawi nudne kazanie, że pragnie aby niebezpieczna czarodziejka zniknęła z horyzontu... jak jej nazwisko tajemnicze i pełne znaczenia. Jeżeli masz cokolwiek zastanowienia, będziesz się starał o niej zapomnieć; wreszcie nie powinno ci to przyjść z taką trudnością, skoroś jej nie widział zbliska ani razu, skoroś wcale z nią nie rozmawiał. Nie znając, jakże możesz tak na pewno otaczać jej piękną główkę aureolą czystości i niemal świętości? Czemu byś tak samo nie mógł przypuścić, że posiada i wady niektóre, że nie jeden już grzeszek wzięła na swoje elastyczne sumienie?

— Byłoby to nikczemnością z mojej strony! — oburzył się Willjam. — Wolałbym umrzeć, niż skalać hańbiącem przypuszczeniem tę wyższą istotę!

— Miejmy więc nadzieję, że czas tę ranę zagoi i że klin klinem wybijemy! — hrabia zażartował. — Na twoją chorobę najskuteczniejszem lekarstwem będzie druga para oczów, równie pięknych i uroczych.

— Tu, w naszej mglistej Anglji — odrzucił książe niecierpliwie — z pewnością nie znajdzie się podobne lekarstwo! Wszystkie młode miss i młode lady, wydają mi się po niej, jak sztywne, niezgrabne marjonetki!

— Och! pozwól, że są i tu wyjątki. Dora Lunley naprzykład, ma dużo szyku i wiele dowcipu; młodziutka Mary, jest zachwycająca w swojej naiwności; lady Stève zaś, jest nie tylko cudownie piękną, ale jak na kobietę niezwykle wykształconą, oczytaną, a przytem najmilszą w świecie, bez cieniu przesady i pedanterji.

— Dora i Mary, to jeszcze para dzieciaków! Co do lady Stève... na mnie zrobiła wręcz przeciwne wrażenie. Wydała mi się właśnie dumną i nadętą arystokratką.

— Ależ mylisz się najzupełniej! Dobroć i łagodność wcielona! i nadto rozumna, aby mieć przesądy jakiekolwiek. Uznasz to sam, bliżej ją poznawszy. Nie zechcesz przynajmniej na razie, zaprzeczyć jej urody znakomitej?

— Mnie bynajmniej nie zachwyciła! — wzruszył książe ramionami. — Szkoda, że tak nic a nic nie ma w niej włoskiego. Czystej krwi Angielka, a ten typ zostawia mnię zimnym zupełnie... Matka mi już powiedziała, że należysz hrabio kochany, do najzapaleńszych zwolenników i adoratorów lady Stève. Możesz być całkiem spokojny, ja z pewnością nie wzniecę w tobie zazdrości! — uśmiechnął się Willjam złośliwie.

— Tem lepiej! — zawołał hrabia — zostanę więc jej wiernym wielbicielem, niestety! wcale nie niebezpiecznym... Mówię niestety, bo lady Stève jest jedyną kobietą, która wzbudza żal w mojem sercu, iż nie mam obecnie lat trzydziestu. Twoja spiewaczka przez uszy weszła do serca, lady Stève zaś usidla jednocześnie mój umysł, czarując wzrok pięknością. Lubię posłuchać słowika, w piekną i cichą noc majową, z jaką godzinkę... ale nie przyznam, żeby to mogło na całe życie wystarczyć. Rozum i żywe słowo, lepsze podług mnie, niż spiew najcudowniejszy; zresztą: „co kto lubi!“ Ty jesteś zimny i obojętny na wdzięki lady Stève, ja znajduję, że ma oczy prześliczne, usta czarujące słodkim uśmiechem, kibić i ramiona, jakby wyszły z pod dłuta *Canovy*, wykute z marmuru kararyjskiego, całość jednem słowem, która mogłaby skusić świętego! Więcej niż potrzeba, aby dać zapomnieć o ptaszku przelotnym i ładnie świegocącym... Gdym miał twoje lata, nie jedną sztukę złota przez okno wyrzuciłem, a damy zakulisowe zbierały je skrzętnie po drodze we fartuszki... ale dla takiej jak lady Stève istoty, byłbym najchętniej oddał całego siebie!

Zapał hrabiego, wywołał znowu na usta Willjama uśmiech sarkastyczny.

— Ho! ho! co za ogień! jaki entuzjazm! Niebezpiecznie byłoby stawać z tobą w szranki hrabio!

— Śmiej się! śmiej ze starego! nie myśl znowu, że o moim wieku zapominam... Tak szalonym nie jestem. W mojem uczuciu dla tej ślicznej, młodej kobietki, jest li miłość ojca dla córki, nic nadto.

Odezwał się dzwon na obiad zapraszający i przerwał dalszą rozmowę, która żadnego z dwóch przyjaciół nie zadowolniła.

Zastali w salonie całe towarzystwo w różowym humorze, nie wyłączając Erminji, która prowadziła ożywioną rozmowę z księżną Whitefield. Matka skinęła na Willjama.

— Prosiłam właśnie moją lubą siostrzeniczkę, żeby mówiła ci „kuzynku" i nawzajem pozwoliła siebie tak tytułować. Milord i milady, nadto ceremonjalne, między tak bliskimi jak wy krewnymi.

— Będę najszczęśliwszym naśladować cię w tem milady.

— Źleś rozpoczął kuzynku... miejmy jednak nadzieję, że z czasem... nawyknienie...

— Do czego najmilej mi będzie przyzwyczaić się, chciej wierzyć kuzynko! — skłonił się książe z rycerską galanterją, ale i z najwyższą obojętnością.

Odczuła to magnetycznie młoda kobieta i z głębi piersi westchnęła. Podał jej ramię do obiadu, usiedli obok siebie, ale myśli Willjama były o sto mil od niej i od całego towarzystwa. Jakże obcą mu była! Chciała okazać się mowną, dowcipną, ale jak zwykle w takich razach, wszystko wydawało jej się nadto banalnem, nadto pospolitem i słowa jej na ustach zamierały.... Ach! gdyby tak jej wolno było zaspiewać mu piękną arję końcową Irmy!

Przez cały wieczór była smutną i milczącą... Willjam zaś nudził się śmiertelnie. Usłyszała go wreszcie rozmawiającego o muzyce z metrem miss Lunley, który grał pięknie na skrzypcach.

— Zagraj nam pan cokolwiek! — prosił Willjam usilnie.

— Najchętniej milordzie, przywiozłem z sobą nawet między innemi, prześliczny duet, z najnowszej opery maestra V., na skrzypce i na fortepian... cała partja Irmy... cóż kiedy żadna z pań go nie gra, a na *prima vista* za trudny.

— Wielka szkoda! Byłbyś mnię pan tym kawałkiem właśnie uszczęśliwił!

Erminja powstała i zbliżywszy się do metra muzyki, głośno przemówiła:

— Możebym ja mogła spróbować?...

— Co robisz milady! — zerwał się hr. de Bocé przestraszony, widząc Erminję zasiadającą przed fortepianem, z partyturą nieznaną na pulpicie. — Na miły Bóg! — dodał ciszej — nie narażaj się na ostre tych dam krytyki... i na pewne *fiasco*! Kochany Willjamie, lady Stève z ciebie po prostu żartuje. Od kiedy miałem zaszczyt ją poznać, nie dotknęła się fortepianu!

— Boję się też istotnie, czy mi palce nie zesztywniały — odpowiedziała skromnie jak zawsze i nie wahając się dłużej w klawisze uderzyła.

To preludium uspokoiło hrabiego i nawet Willjam musiał przyznać, że Erminja gra bardzo pięknie. Gdy skrzypce solo swe skończyły, przyszła kolej na trudne warjacje fortepianowe. Erminja zręcznie interkalowała wszystkie *fermaty*, które dla niej umyślnie Barini pododawał, czego naturalnie nie było w partyturze... Gdy duet się skończył, posypały się pochwały i grzmiące oklaski. I Willjam szybko zbliżył się do fortepianu.

— Jakie uderzenie pewne i świetne! jaki styl klasyczny! Musiałaś słyszeć na scenie tę operę milady? Przypomniałaś mi nawet końcowemi *fermatami* sławną spiewaczkę, dla której tę rolę napisał właściwie maestro V.

— Myślisz zapewne o *L'Ombrze* milordzie? — spytała cichutko.

— O zdrajczynio! — ucałował jej obie rączki hrabia de Bocé — tak mnię starego wywieźć w pole! Grasz lady jak anioł, a nigdy nie dotknęłaś się fortepianu! Cóż to się znaczy?

— Wiedziałam, że nudzi pana gra na fortepianie — uśmiechnęła się słodko.

— Ależ za taką grą ginę, przepadam! — zaprotestował szarmancki Francuz. A zwracając się do Willjama dodał:

— Cóż mówisz o grze mistrzowskiej naszej pięknej lady?

Nie usłyszał zapytania. Myślą błądził po Wiedniu, zdawało mu się, że słyszy cudowne *L'Ombry* kadencje. Dopiero Erminja obudziła go z zadumy, dotknąwszy się z lekka jego ramienia.

— Jak osądzasz kuzynku tę nową operę maestra V.? — wtrąciła.

— Jest to najznakomitsze z dzieł jego!... Trzeba jednak dodać, że znalazł taką artystkę pierwszorzędną do oddania głównej roli. Nie może być złą muzyka, przez *L'Ombrę* spiewana! Przypomniałaś mi w wielu miejscach jej spiew szeroki, jej niezrównane *portamenta*. Czy znałaś *L'Ombrę* kuzynko?

— Ja? — oblała się nagle szkarłatem. — Jakże bym ją znać mogła?!

Willjam wziął rumieniec za oburzenie, za dumę dotkniętą samem przypuszczeniem, żeby lady Stève mogła zetknąć się z podobną istotą.

— Proszę o przebaczenie — rzekł podrażniony. — Sądziłem, iż włoska arystokracja, mniej jest pod tym względem surową, szczególniej gdy idzie o talent pierwszorzędny, i o tak sympatyczną, taki szacunek wzbudzającą osobistość, jaką mi się *L'Ombra* wydawała.

Erminja chciała coś odpowiedzieć, ale zmięszawszy się do reszty, wyjąkała słów kilka, o wyłącznem położeniu, które jej nie pozwalało przyjmować...

Willjam jej dumą (jak sądził) dotknięty do żywego, wpadł w słowo:

— Rozumiem milady... Dama z twojej sfery, dość łaski wyświadcza artystce, jeżeli raczy słuchać jej spiewu. Więcej względów, czyżby śmiała i miała prawo wymagać aktorka?

— Ależ doprawdy milordzie, coś podobnego nigdy mi w głowie nie postało! — zaprotestowała Minia energicznie. — Proszę bardzo, nie mów pan do mnie w ten sposób!

— Mówmy zatem o czem innem — uśmiechnął się Willjam sarkastycznie. — Nie znajdujesz milady, że miss Dorkey, jest dziś ubrana z gustem iście wytwornym?

Wyrecytował te słowa, jak student lekcją na pamięć wyuczoną. Zamilkli na chwilę oboje. Gdy oczy podniósł, jakże się zdziwił, widząc łzy płynące po twarzy Erminji. Zawstydził się sam przed sobą, chociaż nie wiedział czemu przypisać nagłe lady Stève rozrzewnienie. Był niesłychanie wdzięczny lady Lunley, że go przyszła wybawić z kłopotu, proponując Erminji jakąś grę towarzyską.

Patrzał czas pewien za Erminją okiem badawczem.

— Czegóż bo się właściwie rozpłakała? — mruknął gniewny, przez zęby zaciśnięte. — Czy spostrzegła się jej lordowska miłość, że nie wiele sobie robię z jej dumy i arogancji? A jednak grała z czuciem... prześlicznie!... Ba! metr wyuczył ją tego kawałka, jak się uczy ptaszka na pozytywce!... serce jej pewno nie zabije żywiej dla piękna prawdziwego!... z jej oczu łzy nie wyciśnie szlachetny zapał dla sztuki! Należy do tysiąca owych ładnych obrazków, w których odzywa się jedynie próżność kobieca i duma rodowa, z mlekiem matki wyssana!

Początek znajomości między kuzynkami, nie był, jak z tego widzimy, nader obiecujący. Ze swojej strony Erminja oskarżała Willjama niemal o brutalność względem niej i okrucieństwo, przebaczyła mu jednak wszystko, przypomniawszy sobie, że tu szło o *L'Ombry* obronę, i że za nią się ujmując, takim gniewem spłonął.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy.)

X.

Paulina miała słuszność. Nikt nie umiera z radości.

W niespełna godzinę po scenie, którąśmy opisali, pani de Planche-Mibray, zupełnie przyszedłszy do siebie, wyjeżdżała z zamku na wózku zwykłym, wiejskim, którym przejechać łatwo po wąskich drożynach leśnych, zwykle zarośniętych krzakami.

Cztery osoby towarzyszyły jej: Paulina, Fanfreluche zawsze w sukniach pustelnika, ogrodnik i stary Jan, który powoził końmi.

W zamku nie wiedziano nic jeszcze, oprócz tego, że cyganka chciała struć baronowę. Tajemnica tycząca się pana de Maugeville, była wiernie przechowaną pomiędzy ogrodnikiem, Fanfreluche'm i Pauliną, podczas omdlenia pani de Planche-Mibray. I dopiero, gdy wyjechali z zamku, baronowa, która odzyskała teraz zupełnie dawne siły, i jaśniała szczęściem, opowiedziała Janowi całą prawdę.

P. de Maugeville nie umarł, co więcej, powracał do zdrowia, a Fanfreluche zapewniał, że można go już będzie przewieźć powozem.

Teraz, jakim sposobem Manuel pozostał przy życiu? jak Fanfreluche'owi udało mu się go ukryć? i dlaczego milczał tak uparcie przez miesiąc, mając tylko Bréhaigne za powiernika?

Oto właśnie co opowiadał naiwnie przez drogę biedny starzec pani de Planche-Mibray, która słuchała go chciwie.

Fanfreluche jednej nocy — tej samej, w której opuścił ukradkiem zamek, z zamiarem powrócenia na galery — Fafreluche — jak sobie pewnie przypominają czytelnicy — usłyszał nagle dwa świsty, jeden pochodzący z głębi lasu, drugi z doliny Balthazarów.

Będąc ukryty w krzaku o parę kroków w oddali, widział Munita i Michała, zbliżających się do siebie, i obecnym był jako świadek niewidzialny i niemy, przy umowie, zawartej między tymi dwowa nędznikami.

Michał obowiązywał się za pięćset franków zabić pana de Maugeville. Usłyszawszy to Fanfreluche, postanowił zostać.

Ukryty pod suknią pustelnika, czuwał nad panem de Maugeville, i byłby go może ocalił, gdyby nie okoliczność zupełnie nie zależna od jego woli, jak zaraz zobaczymy.

Tego wieczora, gdy p. de Maugeville wracał z polowania z notarjuszem Bompoint, przebrany pustelnik, któremu udało się dowiedzieć godzinę i miejsce wybrane przez dwóch morderców, uprzedziwszy kilka godzin przed tem Manuela przez Bréhaigne, szedł za nim w oddali krok za krokiem, przestrzegając go, aby wracał prosto przez Coulanges do domu, nie wstępując do Planche-Mibray.

Fanfreluche, jako dawny kuglarz, był także brzuchomowcą. I dlatego to, p. de Maugeville i notarjusz Bompoint, napróżno szukali osoby, w miejscu, z którego głos wychodził.

Pustelnik wiedział, w którem miejscu Munito i Michał Balthazar mieli czekać. Ale nie wiedział, że dwie drogi prowadziły tamtędy pod las i skracały odległość. Dopiero od tygodnia przebywał w lesie, więc czas był za krótki, aby znał dokładnie i zbadał szczegółowo topografję lasu Frettoye.

Fanfreluche widząc, że Maugeville nie słucha jego przestróg, postanowił iść przez las, i przybyć przed nim na miejsce, w którem mordercy umówili się czekać.

Jednakże zbłąkał się na ścieżce, która się skręcała nieznacznie, i był jeszcze daleko, gdy wystrzał Michała Balthazar rozległ się po lesie.

Pamiętają pewnie czytelnicy, że przybył w chwili, gdy Michał zabierał się do ucieczki, a Munito, odurzony nienawiścią, upajał się widokiem swego nieprzyjaciela konającego.

Munito, poznawszy kuglarza pod suknią pustelnika, kuglarza, który wyrzucał mu jego zbrodnię głosem piorunującym, przestraszony uciekł pospiesznie.

Wtedy biedny galernik schylił się nad panem de Maugeville.

Prawie wszyscy cyganie znają się na chirurgji, umieją leczyć, znają się na roślinach, a nauka ta przechodzi z pokolenia na pokolenie. Jedni umiejąskładać członki zwichnięte, drudzy leczyć rany, inni znowu wyjmować kule, lub robić bandaże.

Fanfreluche rozdarł swoją koszulę, i zrobiwszy jak mógł szarpie na prędce, nałożył na ranę.

Jednakże kawał drogi dzielił go od Planche-Mibray,

i od owej groty, którą wybrał za mieszkanie, i w której poprzedni pustelnik umarł.

Dlaczego, wziąwszy Maugeville'a na barki, nie zaniósł go do Planche-Mibray? To łatwo pojąć.

Działając w ten sposób, musiałby był oskarżyć Munita, a Munito był jego dzieckiem przybranem, i przez dwadzieścia lat odwidzał go na galerach co pół roku. Zaniósł więc pana de Maugeville do groty.

Tam z pomocą Bréhaigne udało mu się obudzić rannego z długiego omdlenia.

Lecz otworzywszy oczy p. de Maugeville, nie poznał ani jego, ani Bréhaigne. Był nieprzytomny.

Fanfreluche, jakeśmy powiedzieli, był trochę chirurgiem; gdy dzień się zrobił i mógł przypatrzeć się ranie, poznał, że nie była śmiertelną, i zajął się wydobyciem kuli.

Wiedział jednak, że zniknięcie pana de Maugeville narobi wielkiego hałasu, że będą go szukać wszędzie, i że gdyby go znaleziono, musiałby wszystko powiedzieć, albo rzucić podejrzenie na siebie.

Trzeba więc było znaleźć schronienie niedostępne, i schronienie takie Fanfreluche wyszukał.

Na dwa dni przed tem, leżąc na ziemi owinięty w suknie poprzedniego pustelnika, z głową opartą o ścianę prostopadłej skały, zdawało mu się, że słyszy jak gdyby szmer podobny do plusku wody spadającej na kamyki.

Jednakże skała była sucha i wyglądała nawet wulkanicznie.

Tu i owdzie widać było w głębi groty, jak gdyby małe wydrążenia. Fanfreluche podniósł się i zbliżył, a plusk wydał mu się wyraźniejszy.

A ponieważ miał pragnienie, i flaszka jego była próżna, potrzebował zrobić dobrą ćwierć mili drogi, aby dojść do strumyka. Wziął kij gruby, włożył go w jeden z otworów, i kręcąc i podnosząc na wszystkie strony, udało mu się ukruszyć ze skały kawał ogromny granitu.

Nagle powiew powietrza wilgotnego wionął mu po twarzy, a plusk dał się słyszeć tak wyraźny, że odtąd niemożliwem było wątpić, iż byłto szmer podziemny źródła. Przed nim otwarło się rodzaj groty podziemnej, ciągnącej się pod skałą.

Fanfreluche skrzesał ognia, zapalił gałąź smolną, z której zrobił sobie pochodnię. Potem wsunął się w ten otwor, i znalazł się w grocie długiej na trzydzieści metrów, w której ziemia okryta była delikatnym piaskiem, a w głębi płynęło maleńkie źródełko, które utrzymywało w niej ciągłą świeżość.

Fanfreluche napił się z roskoszą, ale powrócił do swojej dawnej groty, zadowolony, że znalazł źródło tak blisko swego mieszkania.

Otóż nazajutrz, gdy rozmyślał nad ukryciem pana de Maugeville, stary kuglarz nie zawahał się ani chwili, i z pomocą Bréhaigne przeniósł rannego, który był ciągle nieprzytomny, do tej drugiej groty.

Powietrze wilgotne i zimne w tej grocie, zbawiennem było dla rannego, i prezerwatywą przeciw gangrenie.

Fanfreluche wychodząc, każdym razem zatykał ułamek granitu, który oderwał.

Żandarmi szukając ciała Maugeville'a, byli i w jego grocie, ale nic nie znaleźli.

I tak przez miesiąc p. de Maugeville był jeżeli nie między życiem i śmiercią, to przynajmniej bliskim utraty rozumu.

Ciało przychodziło do zdrowia, rana się goiła, ale pojęcie i rozum nie powracały.

Nareszcie okoliczność nic nie znacząca, sprowadziła reakcję pomyślną.

Przypominają sobie czytelnicy, że Fanfreluche chwycił Michała ranionego za gardło, wołając: „Nędzniku, dla ciebie gilotyna!“ — i zaniósł go do tej groty, w której był już Maugeville ciągle nieprzytomny. Ale tam zmusił zbrodniarza, że wyspowiadał mu się zupełnie.

Czego nie mogły dokonać wszystkie lekarstwa i staranie Fanfreluche'a, to opowiadanie Michała Balthazar dokazało.

Imiona Corinny, Villenave, Munity, które wymawiał Michał z kolei, obijały się o jego uszy, obudzając pojęcie uspione, i nagle zawołał:

— Ale gdzież ja jestem?!

Wtedy poznał pustelnika, poznał Bréhaigne, a imię pani de Planche-Mibray wyszeptały jego usta.

Potem jeszcze stał się cud prawdziwy. Fanfreluche, galernik, potrafił wzbudzić żal i skruchę w duszy Michała Balthazar. Morderca upadł na kolana przed swoją ofiarą, błagając przebaczenia.

W tydzień potem p. de Maugeville powrócił zupełnie do zdrowia. Jednakże nie wychodził jeszcze z groty, nie żądał, aby go przeniesiono do Planche-Mibray.

Dlaczego?

Bo Michał opowiedział mu wszystko, i dowiedział się teraz, jak podłym był Villenave, i że on był główną sprężyną tego całego strasznego dramatu, a Fanfreluche powiedział mu:

— Trzeba czekać... ażeby módz zdemaskować nędznika... A przedewszystkiem trzeba wynaleźć sposób, aby przygotować panią de Planche-Mibray — która opłakuje pana jako zmarłego — do tej radości, że pana zobaczy.

Co do tego ostatniego środka, to wypadek znowu pomógł doskonale.

Paulina spotkała się z Bréhaigne, z którą pustelnik miał schadzkę.

I pustelnik powiedział Paulinie: „Chodź pani ze mną“

P. de Maugeville poznał Paulinę, tak jak poznał kuglarza i Bréhaigne, a teraz oczekiwał w strasznym niepokoju, aby mu powiedziano:

„Pani de Planche-Mibray wie, że żyjesz!“

Takie było opowiadanie biednego Fanfreluche, który wpatrywał się ze łzami w tę, którą tak długo uważał za swą córkę.

Powóz toczył się, podczas gdy kuglarz opowiadał, aż do pewnej odległości od groty pustelnika. Ale tu trzeba było stanąć.

Grota ta, jak wiemy, znajdowała się w głębi skały, otoczonej dokoła krzakami do nieprzebycia.

Pani de Planche-Mibray wysiadła z powozu i szła za pustelnikiem.

Ten odginał gałęzie drzew i torował drogę.

Po upływie kwadransa, baronowa znalazła się u wejścia pierwszej groty. Ale wzruszenie jej było tak wielkie, że musiała się zeprzeć na Paulinie, która trzymała ją za rękę.

Kobieta jakaś była w grocie. Była to Bréhaigne. Widząc wchodzącą baronowę, położyła palec na ustach. Potem, zbliżywszy się, rzekła z cicha:

— Trzeba go także oszczędzać, bo nie jest jeszcze tak silny.

Baronowa usiadła na kamieniu, który zwykle zamykał wejście do lochu podziemnego.

— Niech pani tu zostanie — rzekła Bréhaigne.

— Dlaczego?

— Bo gdyby panią obaczył tak, nie będąc uprzedzony...

— Cóż więc?

— Mogłoby mu to zaszkodzić — rzekła Bréhaigne.

— Boże mój! — szepnęła baronowa, której serce biło gwałtownie.

Potem rzekła do Bréhaigne:

— Idźcie, ja zaczekam!

Paulina i Bréhaigne weszły do groty, a pustelnik i dwóch służących z Planche-Mibray, zostali koło baronowej.

Grota była oświecona, ponieważ Fanfreluche znosił tam zawsze gałęzie smolne, które palono ciągle, i te dawały światło bladawe.

P. de Maugeville w istocie powracał do zdrowia.

Michał usługiwał mu, robiąc tysiączne przysługi. Ten człowiek nieokrzesany żałował nareszcie za grzechy.

Gdy p. de Maugeville ujrzał wchodzącą Bréhaigne, a za nią Paulinę, serce gwałtownie mu zabiło.

— Boże mój! — zawołał — jaką wiadomość mnie przynosicie?

— Nic złego — odrzekła Paulina.

Usiadła koło niego, na piasku wilgotnym, a wziąwszy go za rękę, rzekła:

— Przyjacielu mój, dziś rano byłam w Planche-Mibray.

— I widziałaś ją pani? — zapytał p. de Maugeville.

— Tak.

— I... powiedziałaś jej...

— Wie wszystko — i Paulina uśmiechnęła się. — A radość nie zabija — dokończyła.

P. de Maugeville zbladł strasznie.

— Więc ona wie, że ja żyję? — rzekł.

— Tak.

— I wie, gdzie jestem?

— Tak, wie.

Serce zabiło mu znowu, a uśmiech smutny przemknął po ustach.

— I nie miała siły przyjść z panią? — zawołał.

Ale nagle głos jakiś rozległ się u wejścia groty, głos harmonijny, wzruszony, jak głos anioła wygnanego, który odnalazł znowu niebo, a głos ten wołał:

— Manuelu! ja tutaj...

I pani de Planche-Mibray rzuciła się w objęcia pana de Maugeville, który okrywał ją gorącemi pocałunkami.

W tejże chwili biedna Paulina odwróciła się i otarła łzę cichaczem. Była to jej słabość ostatnia.

Gdy pierwsze uniesienie pani de Planche-Mibray przeszło, zawołała Jana, mówiąc:

— Przygotuj nosze mój stary przyjacielu. Narwij gałęzi z drzew.

— To niepotrzebne — rzekł Manuel — czuję, że będę miał siły zajść aż do powozu.

Ale wtedy Fanfreluche wmięszał się.

— To nie można proszę pani — odezwał się — ażeby p. de Maugeville wracał do Planche-Mibray w biały dzień.

— Dlaczego?

— Nie potrzeba, aby ludzie w Coulanges wiedzieli już o jego życiu.

— Ale dlaczego? — zapytała znowu.

— Dlaczego — powtórzył Fanfreluche — ten człowiek pani powie.

Wtedy pani de Planche-Mibray, która dotąd, w tem zamieszaniu i radości, nie widziała nikogo, tylko Maugeville'a, teraz spostrzegła jakiegoś ponurego człowieka, stojącego w kącie z oczami spuszczonemi.

Człowiekiem tym był Michał Balthazar.

Baronowa patrzała na niego zdziwiona. On zbliżył się do niej, i upadłszy na kolana, zawołał:

— Pani! p. de Maugeville przebaczył mi, i wstąpię na rusztowanie bez słabości, jeżeli pani przebaczysz mi także..

— Przebaczam ci — rzekła wzruszona.

— Nie możesz mi pani przebaczyć, nie znając całej mojej zbrodni.

— To ty strzelałeś do pana de Maugeville, za namową Munita? — zapytała baronowa.

— To ja zamordowałem barona de Planche-Mibray! — odpowiedział Michał.

Baronowa krzyknęła.

Michał ciągnął dalej głosem powolnym i pewnym:

— Wszyscy myślą, że baron de Planche-Mibray zabił się, chcąc przeleźć przez mur. To nieprawda. Oto co się stało: Pewnego rana baron wyszedł z psem swoim bawiąc się strzelaniem drozdów w winnicy, i doszedł tak aż do krańca lasu. Wychodziłem właśnie w tej chwili i miałem zająca w mej torbie. Spostrzegł mnie i zawołał. Zbliżyłem się.

— Mój chłopcze — rzekł do mnie — i ty ciągle kłusujesz. Obaczysz, że to ci na dobre nie wyjdzie.

— Muszę żyć przecie — odrzekłem.

— Gdybyś chciał żyć uczciwie — odpowiedział mi — dałbym ci sposób ku temu.

— To trudno, gdyż zbyt lubię polowanie.

— A więc polowałbyś... Czy chcesz przyjąć u mnie służbę leśnego? — zapytał.

W tejże chwili usiadł na murku i postawił strzelbę koło siebie. Byliśmy w miejscu samotnem. Spojrzałem do koła i nie widziałem nikogo. Podczas gdy baron mówił do mnie, stałem koło muru, który przewyższałem o całą głowę.

— Panie! panie! — rzekłem nagle z cicha.

— Co takiego? — zapytał mię.

— Niech się pan nie rusza... Widzę zająca na legowisku..

— Gdzie?

— Między dwoma kamieniami, pod leszczyną o sześć kroków.

Podniósł się i spojrzał, patrząc w kierunku, gdzie wskazywałem palcem, niby to na zająca.

— Nie widzę nic — rzekł do mnie.

— No, to pożycz mi pan swojej strzelby.

Podał mi ją w milczeniu.

Wziąłem strzelbę, a podniósłszy ją prędko, oparłem o kark barona i zabiłem go na miejscu. Upadł nie krzyknąwszy nawet, a ja uciekłem.

— Ależ nieszczęśliwy — krzyknęła baronowa przerażona — w jakim celu to uczyniłeś? czy aby go okraść?!

— Nie, ale aby otrzymać piękny folwark, który mi obiecano — odrzekł Michał.

— Kto taki? — zapytała baronowa zbladłszy.

— Siostrzeniec barona i pani, p. de Villenave!

A gdy baronowa krzyknęła z oburzenia i boleści, Fanfreluche rzekł:

— Widzi pani, że nie można, aby wiedziano jeszcze, że p. de Maugeville nie umarł. Winnego trzeba oddać w ręce sprawiedliwości, bo on największym zbrodniarzem ze wszystkich!

. . . .

(Dokończenie nastąpi.)

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.